Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 13. Poznań, dnia 30. Marca. 1840.

Słowiańszczyzna.

Z prawa o slowanském ewangelium w Remesi, od W. Hanki 1839.

(Dalszy ciąg.)

W ostatnich miesiącach zeszłego roku wyszły w jednym prawie czasie w trzech rożnych miejscach, w Paryżu, Petersburgu i Pradze, trzy oddzielne o tym samym przedmiocie rozprawy: p. Jastrzębskiego, umieszczona w Journal général de l'instruction publique, z miesiąca Września; p. Sergiego Michajłowicza Strojewa, w Sewernéj Wezele, z miesiąca Listopada, i p. Wacława Hanki, w czasopismie Czes. Muzeum z miesiąca Grudnia. Najważniejszém zadaniem było, oznaczyć czas, kiedy rzeczony rękopism powstał, i kto go pisał? i wykazać miejsce, skąd początkowo wyszedł, nim się do Rheims dostał. Jak się tam dostał i kiedy? jakie koleje przechodził? to były pytania mniejszéj wagi; a jaka prawdziwa treść jego, to po pilném przeczytaniu łatwo się było można o tém dowiedzieć. Tylko p. p. Jastrzębski i Hanka głównemu zadaniu jednozgodnie i, jak się zdaje, z zupełną pewnością odpowiedzieli. P. Strojew zszedł w badaniu swojém z prostéj drogi i ma tylko cząstkową zasługę. — Rzecz tak się ma bliżéj: p. Jastrzębski, ćwicząc się w królewskiéj dyplomatycznéj szkole w Paryżu, w czytaniu, rozumieniu i ocenianiu autentyków piśmiennych, był, z polecenia byłego ministra oświecenia p. Salvandego, posłany do Rheims, aby naocznie przekonał się o znaczeniu i wartości tam znajdującego się rękopismu słowiańskiego. Pan Jastrzębski uiścił się godnie z tego polecenia, i pierwszy z uczonych oznaczył wysokie znaczenie tego pomnika wspólnéj naszéj literatury. Podług niego cały ten rękopism jest słowiański; dzieli się na dwie części, jak to już dawniéj było wiadome; jedna z nich, cyrylska, pisana jest własnoręcznie przez ś. Prokopa, opata klasztoru Sazawskiego w Czechach, około 1010. — 1040. r.; druga zaś, głagolicka, należała do jednego z mnichów klasztoru św. Hieronima w Pradze, założonego od Karola IV. r. 1349.; obie części zawierają nauki na niedziele i święta wyjęte z nowego testamentu.

Nadając p. Jastrzębskiemu pierwszeństwo w oznaczeniu czasu powstania i miejsca pochodzenia tego rękopismu, nié myślimy przez to uwłaczać zasłudze p. Hanki, który, nie znając rozprawy p. Jastrzębskiego, (o któréj się, jak sam przy końcu broszurki swojéj powiada, dopiero w chwili właśnie, kiedy rozprawa jego już miała z druku wychodzić, dowiedział,) własném badaniem do tegoż samego, co Jastrzębski, doszedł rezultatu. Wszakże, aby być sprawiedliwym, badania tu wielkiego nie było potrzeba; bo trzeba było tylko umieć czytać głagolicką część rękopismu, i doczytać ją do końca, aby dowiedzieć się z kilku wierszy ostatnich, kiedy i gdzie obiedwie części rękopismu powstały. To łatwiéj jeszcze było Jastrzębskiemu, który rękopism czytał na miejscu, niż Hance, który rękopismu tego wcale nie widział, i tylko z przytoczonych kilku, w Strojewa rozprawce, ostatnich wierszy głagolickiéj części, sąd swój wydał tak pewny. Strojew zaś, który już dawno tym rękopismem się trudnił, miał sobie, dla dalszego poszukiwania, przysłane od Sylwestra de Sacy fac simile z trzech ostatnich kolumn głagolickiéj części. Rozbierając pojedyńczo, jak to sam pisze, kulasy głagolickie, spostrzegł, że przy końcu ostatniéj kolumny rękopismu, znajduje się przypisek, pisany tąż samą ręką, co i cała część głagolicka. Przeczytawszy go, ale przeczytawszy fałszywie, dowiedział się: że rękopism ten jest z roku 1395., że cyrylska jego część pisana przez jakiegoś (!) ojca Prokopa, była własnością jakiegoś Niebożwika (!) Karola, i darowana od niego sławienitemu (!) klasztorowi ś. Trójcy (?) ku czci śś. Hieronima i Prokopa. Ten swój sąd, razem z innemi dodatkami, oraz i z wierną kopią rzeczonego przypisku, ale ruskiemi literami, głoska po głosce, wypisaną, umieścił Strojew w Północnéj Pszczole jako osobną rozprawkę, fac simile głagolickie samo i swoje o niém zdanie przedłożywszy petersburskiéj akademii nauk do osądzenia. P. Hanka, zawołany w słowiańszczyznie dy-

plomatyk, umiejący doskonale odczytywać i oceniać najzawilsze starożytne pisma, ledwo rzeczoną ruską kopią przypisku dostał do ręku, nie widziawszy nigdy głagolickiéj, poznał natychmiast, że p. Strojew, nie bardzo biegły w głagolityce, biorąc litery jedne za drugie, oddzielając i składając syllaby fałszywie z sobą, skrzywił prosty text przypisku, i w sądzie swym strasznie się pomylił. P. Hanka inném rozdzieleniem słów i nieznaczną zmianą kilku liter, text ten z większą daleko wiernością i dokładnością oddał. Text ten jest w rękopismie samym pisany w czeskim języku, głagolickiemi literami, a brzmi, jak następuje:

»Let hospodinowych 1395. Swato Evangelie a Episztolie, jeszto su pisany slowanskym jazykem, tyż maji zpiewany byti na hody, kdyż otec pod korunu mszy služi.«

»A druha strana tiechto kniżek, w niejż jest po wierze ruskeho zakona, psal jesti Prokop otec swu ruku, a to pismo ruske dal nebożtik Karel cztwrty ciesarz rzimsky k oslawieni tamuto klaszteru a ke cti swatemu Jeronymu i swatemu Prokopu. Hospodine racz mu dati pokoj wieczny. Amen.«

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Skarga wieszcza.

Biedny wieszczu bez słuchacza,
Bez strun żywych gęśli biedna!
Jak ta ptaszka co rozpacza
Na pustyni sama jedna.

Cóż ci potem, że dokoła
Marzysz taki raj prześliczny?
Oko płacze, serce woła,
Odpowiada gwar uliczny!

Cóż ci potem, że w podniebie
Myśl wyrywa się skrzydlata?
Chcesz co ziemskie zrucić z siebie . . .
Ciemna więzi cię komnata!

Strumyk brzękiem, echem skała,
Kwiatek wonią się odzywa;
Tobie pióro, karta biała —
Jeden tylko wieszcz nieśpiewa!

Oj, śpiewali niegdyś oni,
Za sławiańskich starych czasów,
Kiedy gęśl im drgała w dłoni
Śród Peruna świętych lasów.

Oj, śpiewali chorowodem
Na teremie Włodzimierza,
Gdy róg żubra krążył z miodem
Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z sioła w sioło
Szedł na gody, wieczornice;
Pieśnią rzewną, to wesołą
Rozpromieniał, chmurzył lice.

Dla mołojców i dla dziewic
O kukułce śpiewał chwilę;
Znowu śpiewał: jak królewic
Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepra, od Dunaju,
Znowu dumkę Haliczanek —
Jako dziewka kwiatki w maju,
Duch sławiański splatał w wianek.

Tak bywało za Lumira,
Za Bojana . . . teraz jeszcze
Serbska gęśla, Ruska lira
Konająco zaszeleszczę.

Chwytaj, chwytaj czuciem, uchem,
Dźwięk w powietrzu zanim skona,
Piewco młody! z silnym duchem,
Gęśli! — nowo nastrojona.

Twój świat ciasny się rozszerzy
W stepy — góry — nieboskłonem;
Gdy zapiejesz, gmin się zbieży,
Abyś wstrząsał jego tonem.

Kiedyż, kiedyż dnie przeminą
One czarne — kiedyż przecie
Pieśni wieszczów znów popłyną
Z sioła w sioło skroś po świecie?! —

Strasburg 1840. *Lucyan Siemieński.*

Obłąkana.

(Kilka zarysów z życia potocznego.)

(Dalszy ciąg.)

4.

Trzeciego dnia w tym samym domku grała huczna muzyka. Ciekawi przedmieścia mieszkańce, których oka nie ujdzie nawet tak pospolity wypadek jak wesele, zaglądali przez szpary firanek, po których latały cienie tańczących, jak widziadła przez czarnoksiężnika zaklęte: raz zbliżając się do naturalnéj wielkości, ciemniéj i kształtniéj odkrawały się na oświeconym muślinie firanek, daléj rosnąc bladły i ustępowały miejsca nowym, w miarę oddalania się tańczących w przeciwległą stronę pokoju. Pod oknami też gruppy mieszczan roztrząsały półgłosem ważną materyę, jaką im na parę dni nowe nastręczyło wesele: mówiono tam o cnotach i przywa-

rach państwa młodych, o ich zapoznaniu się na reducie i t. d. — »Biedna Aniela!« odezwało się parę głosów, »ona go tak kochała!«

Mieszkańcy przedmieścia składają jakby jednę rodzinę, gdzie los jednego jéj członka wszystkich po części obchodzi. Tam każdy, jakby stooczny Argus, najskrytsze domowe czynności wyśledzi — wyśledziwszy objawi. Nowa wiadomość przebiega z ust do ust, a tak jak w górach pył śniegu lekkiem uderzeniem strącony, obsuwając się po spadzistości, coraz się zwiększa, póki nie wyrośnie w olbrzymią massę grożącą zasypaniem domów u podgórza: tak nowina przedmieścia cicha i nieznacząca nim obiegnie całe koło dobrodusznych i ciekawych, a zarazem bujną wyobraźnią obdarzonych mieszkańców, wyrośnie na dziwną po za krańce prawdopodobieństwa sięgającą powieść, ze wszystkiemi cudami Tysiąca Nocy, ze wszystkiemi okropnościami Wieży w Nesle.

»Patrzcie, ot pogrzeb!« zawołał ktoś z tłumu — i wszystkich oczy zwróciły się w stronę palcem wskazaną. — Z pobocznego domu wyjeżdżał wóz, na nim złożona biała sosnowa trumna, któréj jedyną ozdobą był czarny nie kształtnie nakreślony krzyż. Wóz postępował samotny, ni pogrzebowego orszaku, ni księdza, ni odgłosu dzwonów, — zapewnie zmarły był bez krewnych, bez przyjaciół, zapewnie był ubogim. Przypatrz się pogrzebowi bogacza, co tam świętéj posępności w śpiewach księży i jęku dzwonów i we mdłym pochodni blasku, co tam żałoby na sukniach, co tam przyjaciół na stypie, a co tam było krewnych przy testamencie! Za trumną ubogiego idzie czasem pies, jak na znajomym obrazie: Funérailles d'un pauvre — dziś ani psa nie było. Kolana obecnych mimowolnie się ugięły i było słychać cichy szmer modlitwy. Wóz przejechał, klęczący powstali i jak na zawołanie przed chwilą, wesołe zasępiły się twarze; tak teraz na nowo rozjaśniły się dowcipami, których źródłem był pogrzeb.

»Nie obmawiajcie zmarłych!« rzekła stara kobieta. — »Wieczny odpoczynek im w grobie!« odezwała się inna, »ale nieboszka nie umiała chować córki.« — »Panie, daj jéj żywot wiekuisty, nie doczekała się też z niéj pociechy.« — »Nie wyprowadzić matki na cmentarz!« — »Tam pan Gustaw od dwóch dni mieszka.«

W czasie podobnych rozmów wyszedł jakiś młody człowiek w weselnéj odzieży, z kwiatkiem u fraka, zapewne by użyć świeżego powietrza. »Pan młody, pan Edward!« szemrano pomiędzy sobą i wszystkie oczy nań się zwróciły. Nie masz prawdziwie przykrzejszéj chwili w życiu ludzkiém, jak ten dzień, kiedy na nas wołają: pan młody, kiedy musiemy z uśmiechem wdzięczności przyjmować nudne życzenia i pochwały, kiedy tłum świadków wstrzymuje chwilę naszego szczęścia, kiedy nie możemy gniewać się, jeśli kto zniewoli zarumienić się naszą kochankę. I wówczas często porzucamy grono bawiących się i przeklinamy formy i zwyczaje towarzyskie, którym ulegamy. I Edward nudzi się na swojém weselu, spogląda na zegarek, tak mu wieczór nieznośnie długim się staje i wychodzi co chwila ze sali. A kiedy mu jakiś gaduła nie w swoją porę opowiadał o pogrzebie, widać było, jak twarz jego mieniła się: pewnie kontrast téj chwili przykre na nim czynił wrażenie.

»Jakto, i nikt nie szedł za trumną?« zapytał opowiadacza po chwili milczenia. — »Nikt!« — »Ani córka?« — »Nie.« — »Ani Gustaw?« — »Nikt!« — Pan młody uśmiechnął się szydersko i pogwizdując wrócił do sali. — »Znałeś Anielę?« zapytał jednego z dawnych przyjaciół. — »Co za Aniela?« rzekł tamten. »Przypomnij sobie wieczór przed ostatnią redutą.« — »Ah ta! cóż więc?« — »Zanieś jéj ten woreczek z pieniędzmi.« — »A to na co?« — »Winienem jéj,« rzekł obojętnie pan młody — i rozeszli się.

5.

A przyjaciel pana młodego wrócił po chwili do sali i rzekł: »Zamknięte!« — »A oni?« — »W ogrodzie.« — »Ten szaleniec Gustaw chciał się zemną strzelać, muszę mu choć powiedzieć, że nie warto, że ona....« i wybiegł ze sali z pół urwanym wyrazem, może go chciał dokończyć w obliczu Gustawa, bo wpadł do ogrodu w podle. — Ciemną noc zaciemniały jeszcze drzew gałęzie, a z pomiędzy na pół obnażonych błysnęła gdzieniegdzie gwiazdka na niebie, jak świętojański robaczek na łące. Ciche, oddaleniem zmiękczone muzyki tony, łagodnie, harmonijnie rozlewały się po powietrzu, a kiedy niekiedy z wiatrem nagle skręconym ton mocniejszy wyskoczył, a kiedy niekiedy szelest liści dziwacznie i fałszywie zawtórował weselnym dźwiękom, jakby podrzeźniając radości. Ten kontrast podraźnił słuchacza po sercu, i rozpoczęła się w nim walka dawnych wspomnień, kłamanych uczuć, bliskich rozkosz i posępności wieczoru — a w téj walce nie było jako zwyczajnie, gdzie jedne myśli i marzenia biorą górę i opanują nas, i przeciwne wrażenia zatrą bez śladu; bo tu wszystkie na raz wystąpiwszy zmąciły się i przed wyobraźnią w potwornych wystąpiły gruppach. Dziwaczne Hoffmannowskie obrazy snuły się przed jego oczyma: weselne pary krążyły w około — świecące nagiemi gałęziami drzewa jak olbrzymie szkielety chwiały się jednotonnie, jakby w takt dalekich wiatrem przyniesionych dźwięków i z szumem liści pogwizdywały tym

szatańskim tańcom. Popchnięty wirem własną wyobraźnią wywołanych i zaklętych widziadeł, przebiegał ogród, a wszędzie jakby za dotknięciem czarnoksięskiéj laski nowe z pod ziemi występowały widziadła, zabiegając mu drogę. A wtém usłyszał wołanie: »Edwardzie, Edwardzie, ty mię kochasz jeszcze?« — i odpowiedziano na to: »Możeszże wątpić o tém, biedna dziewczyno?« — »Biedna? o mylisz się, ja jestem szczęśliwą, jak w niebie nie są anieli!«

Te znane głosy jakby ze snu zbudziły Edwarda, przed jego oczyma rozpierzchły się fantastyczne obrazy. Dziwno mu słyszeć swoje własne imię, przekonany, że te słowa skierowane do Gustawa. Nie dowierza sobie, czy jeszcze nie jest w przedchwilowym stanie pod wpływem zawistnych duchów, a jakby chciał w samym sobie doznane zobojętnić wrażenie, rozśmiał się głośno. Ten śmiech nienaturalny, przymuszony, jakby dla odczarowania pozostałych śladów z dopiero przesnutych dziwów, jego samego przestraszył. Wtém z tyłu nagle jakaś dłoń chwyta go za ramię i znany głos odzywa się: »Za pozwoleniem!« — »Ah, to ty, Gustawie!.... przepraszam, nie chciałem ci chwil rozkoszy przerywać, pomnąc, iż są tak nietrwałe.« — »Doświadczyłeś tego?« — »Chciałem ci właśnie w tym celu przyjacielską dać radę.« — »Słucham.« — »Żebyś nie grał roli Wertera, bo ona nie Karolina. Spodziewam się jednak, że nasze koleżeńskie życie za mało w sobie stoicyzmu posiadało, abyś miał jeszcze w sympatyę dusz, w sentymentalną miłość wierzyć. Przyjmiesz odemnie te słowa jako jedynie przez przyjaźń natchnięte. Dziwactwo Gustawie, dziwactwo, całe dni u stóp twojéj bogini przepędzać. Zapatruj się na nas dawnych znajomych: żenim się, kiedy chcemy los nasz poprawić, a kochamy się dla przepędzenia kilku chwil przyjemnych, wreszcie dla urozmaicenia życia. Odmówiłeś mi, przybyć na wesele — ja pragnę cię za to ukarać: pozwolisz, kilka słów do twojéj pięknéj przemówię, nawet w obec ciebie — nie lękaj się, czego drży twoja ręka?« — »To nic — chłód wieczorny — proszę z sobą.« — »Ach, powiedz mi jeszcze, czemu ona na ciebie mojém imieniem woła?« — »To moje właściwe imię, używałem częściéj drugiego.« — I postąpili kilka kroków naprzód, a osoba w bieli rzuciła się w objęcia Gustawa i na jego szyi obwisła i wołała nań: »Edwardzie!« — Edward stał opodal i zdumiony nie mógł pojąć téj sceny. Ostatnia przyjaciela odpowiedź zdawała mu się nie prawdziwą, czyżby więc jego własne imię w jéj pamięć tak wrosło, iż służy już za epitet każdego jéj kochanka? dla czego jéj wzrok tak obłędny i niepewny, a jednak jaskrawy? dla czego kryje twarz swoję na piersi Gustawa, a jednak często lękliwém spogląda na świadka okiem? może to uczucie wstydu — przecież go w ciemności poznać nie podobna .... »Dla czegoś mój kochanku tego obcego przyprowadził z sobą? ja się go lękam, oddal go, oddal!« rzekła słabym głosem na ramieniu Gustawa oparta dziewica, »on mię może z twoich rąk porwać zamyśla — ratuj mię! ratuj!« wołała i pochwyciła go silnie, a jéj palce w konwulsyjném drzeniu wpiły się tak mocno w ciało Gustawa, iż ten z oznaką bólu zawołał: »Puść mię, Anielo!« — »Ha!« krzyknęła, »chcesz mię odepchnąć od siebie, nie podołasz temu: ja wplączę palce moje w muskuły ciała twojego, jak wąż pierścieńmi, w okół ciała twojego ramiona moje okręcę, a jeśli skonam, niewydobędziesz się łatwo z tego obwinięcia, chyba skośniałe członki moje po kawale odrębywać będziesz: ja wrosnę w ciebie!« — Gustaw milcząc złożył na jéj czole pocałunek i łzę rozpacznéj rozkoszy, a ona opuściła dłonie i osłabła, skłoniła się na jego ręce i całować je poczęła. Gustaw ją pochwycił w ramiona i przebiegł za nią ogród, aby osłabłą złożyć na łożu, a odchodząc szepnął przyjacielowi do ucha: »Czekaj!«

6.

Nie długo powrócił Gustaw szerokim obwinięty płaszczem i rzekł: »Widziałeś ją? — to twoje dzieło!« — »Prawda, że ona cierpi napady obłąkania,« odpowiedział obojętnie Edward, »ależ moja ta wina? Mój Gustawie, jeśli każda nasza kochanka ma cierpieć pomięszanie zmysłów, tobym powiedzieć musiał, że miłość sprzeciwia się naturze i jest introdukcyą szaleństwa. Nawet mi dziwnie połączyć twój wyrzut z mojemi w tym względzie spostrzeżeniami. Mówisz: to twoje dzieło! — a przecież ciebie ona kocha. Nie pojmuję tego.« — »Wyjdźmy na chwilę z ogrodu,« rzekł Gustaw, »nie chcę i nie mogę tu rozmawiać.« — »Ja wracam do siebie; u mnie, jak wiesz, wesele, a lubo mię wszystkie te ceremonie i obrzędy gniewają i nudzą, nie mogę się przecież na długo oddalać.« — »Zapomniałem, życzyć ci szczęścia w tym nowym stanie,« rzekł Gustaw, uchylając ogrodową furtkę prowadzącą w pole. — »Spodziewam się, iż mi posłuży, posiadam bowiem wolę.« — »Może to tylko fatum?« — »Być może.« — »Zapewnie cię i teraz nie opuści!« odpowiedział szyderczo Gustaw, uchylając z pod płaszcza parę pistoletów.

(Dokończenie nastąpi.)

Teatr za Zygmunta III.

Od roku 1587 *do* 1632.

(Dokończenie.)

Mateusz Buczkowski w r. 1614. ułożył i wydrukował: »Uroczysta kwietniéj niedziele processya«, a przypisawszy ją Piotrowi Tylickiemu, biskupowi Krakowskiemu, prosi, aby

»zwyczajowi sprzyjał w tym dawnemu.«

W tym obchodzie przepisane były obrzędy kościelne. Buczkowski po każdym dodał deklamacye, ozdobił je prologiem, chórami, epilogiem, i pobożny zrobił z tego wszystkiego dyalog. Ten dyalog był w całości okazany na kwietnią niedzielę w Korczynie i Kielcach. W prologu tak wzywał widzów swoich do świętego dyalogu:

Proszę już, uspokójcie próżne w sercu myśli,
Na chwaleśmy tu bożą, nie na gadki przyśli.
Przygotujcież króciuchno myśli wasze z nami,
Wyznajcie chwałę Bogu wdzięcznemi głosami.

W epilogu zaś tak zakończył:

Niechże wam do spraw świętych, serce Bóg rozżarzy,
I darami świętego ducha was obdarzy,
Żebyście uważając święte jego sprawy,
Zabiegli Bogu swemu bez świeckiéj zabawy,
Z palmami cnót wszelakich i z znacznym zwycięztwem
Prosty człowiek, i świecki wespół z duchowieństwem!

Dyalog ten Buczkowskiego z tego względu zasługuje na szczególną uwagę, iż pokazuje widomie, jak mało ceniony był rozkaz Bernarda Maciejowskiego, biskupa Krakowskiego, r. 1603. wydany, zabraniający grać dyalogów z żywota Chrystusa Pana. Maciejowski do żywego dotkniony szyderstwami różnowierców z takich widowisk wydał ten rozkaz w swojéj dyecezyi; prawda, że go niecofnął, ale musiał patrzeć na lekce ważenie takowego, bo lud przyzwyczajony do sztuk tego rodzaju zakochany w nich nie łatwo się dał odwieść.

Naśladowane od Włochów [pisze Fr. Siarczyński*)] a szczególniéj w wielkim poście, dawane »Męki pańskiéj«, bardzo jeszcze wielu pobożnych widzów bawiły za czasów Zygmunta III. Towarzystwa grających osoby Chrystusów, Judaszów, Kaifaszów, apostołów, przechodziły z miast do wsiów, i tam na wystawionych teatrach popisywały się sztuką swoją, i wyłudzały z widzów pieniądze. Takowe widowiska wyprawiali mnichy w klasztorach, nauczyciele przez żaków swoich, plebani z organistami swemi przy farach, a wiedząc, ile ta popłaca zabawa, miano na mięsopusty maszkarne komedye, na święta celniejsze dramata i śpiewy, na wesela widowiska godowe, a na Wielki-tydzień o Męce pańskiéj dyalogi. Ażeby zaś i te bawiły, bo zawsze się więcéj śmiać niż płakać lubiono, przeplatały wytchnienia Intermedia zwane.

*) W dziejach panowania Zygmunta III. w rękopismie zostawionych.

Dyalogi Jezuitów miane były za najwyborniejsze widowiska. Wystawiano w nich i rzeczy poważne, jakie są: Ofiara Abrahama — Bitwa Goliata z Dawidem — Mocowanie się ze lwem Samsona — Zdobycie Troi — Uratowanie Anchizesa — i śmieszne furfantów, kuglarzów, satyrów, pielgrzymów, sceny.

Nieznamy, ale z napisu ma tu miejsce »Komedya Rybałtowska« 1624. r. wydana, w któréj z rycerzy junaków szydzi.

Gdy po wzięciu Smoleńska przybył Zygmunt III. do Wilna, wyprawili mu Jezuici widowisko, które opanowania tego miasta od wojsk polskich obraz wystawiało.*)

Do rodzaju widowisk należały i te, które w Gody, Zapusty, przebierane żaki w dziwaczne stroje wyprawiali, i tak po domach znaczniejszych mieszczan i panów w Krakowie chodzili, grając swoje komedye.

Siarczyński do tego rodzaju widowisk liczy i Cząber babski w tłusty Czwartek, gdy przekupki Krakowskie, obrawszy między sobą marszałkową, różne tańce ze śpiewami po mieście toczyły, a pochwyciwszy bezżennego młodzieńca, w wieniec grochowy stroiły, przywiązywały mu kloc straganny i przymuszały go tańczyć z kądzielą i motowidłem.

Ale trudno uliczną zabawę za sztukę dramatyczną policzać, jest to próżny a niestósowny domysł. — Podzielone na roty wtedy przekupki, baby straganne, schodziły się z różnych ulic w rynek i na przeciw orła, rozpoczynały taniec, śpiewając różne pieśni.

Dzieło »Gregorianki«, 1600. roku wydane, wspomina jednę z nich, którą nazywa mądrą Maryną, co pięć razy na Cząbrze marszałkowała i swojego układu i tworzenia pieśni śpiewała bardzo trafne. — To więc było prostą zabawą mięsopustną, uciechą w taniec i piosnki zasobną.

Do tego okresu liczyć należy tłómaczenie tragedyi »Troas« z Seneki, Łukasza Górnickiego, i wydanéj r. 1589. (w Krakowie u Łazarza in 4to.) — Wątpię, aby wystawioną była na teatrze, bo żadnego w tym śladu niema. Dla poznania języka tak znakomitego pisarza, jakim był Ł. Górnicki, przytaczam wyjątek z aktu 3go**):

*) Rostowski.
**) Dyk. poet. polskich X. Juszyński t. 1.

Andromacha.

Biedne moje Trojanki! przecz*) targacie włosy?
Z biciem piersi płaczliwe podnosicie głosy:
Czemu tak bardzo lica łzami przyodziane,
A kosy niegdyś śliczne, teraz poszarpane?
Gdy się dobrze przypatrzym, snadź cierpiemy mało,
Gdy tego tylko płaczem, co płacz wyciskało.
Wam dopiero, mnie dawno Troja wywrócona,
Gdy mężny Hektor zabit, Trojańska obrona,
Wtenczas i jam zginęła. Gdy okrótnik srogi
Zabiwszy, wrzucił na wóz on mój żywot drogi,
Gdy pod wielkim ciężarem, skrzypiąc oś się tarła,
Ja bez myśli, bez czucia, jużem była zmarła.
Tam moja myśl ta była, niż się karmić łzami
Greków zbydź, a na śmierć iść za enemi stopami.
By nie to biedne dziecie, które mi zostało,
To mię samo na świecie jeszcze zadzierzało;
To, gdy się w samobójstwo serce moje skłoni,
Łzami rękę hamuje, a umrzeć mi broni.
Już szczęście niema u nas domu, ni gospody,
A nieszczęściu, i bez wrót, wszędy wolne wchody.

Tu także należy tłómaczenie Stanisława Gosławskiego dramatu łacińskiego Szymona Szymonowicza: »Czysty Józef.«**)

Godnego siebie tłómacza, pisze X. Juszyński,***) znalazł Szymonowicz w Gosławskim. Piękna poezya, jak wówczas była rzadką, tak w tém tłómaczeniu czuć ją można. Jak Szymonowicz wybornym wierszem naśladował Seneką, równając osobliwiéj rozkochaną Fedrę, tak i Gosławski wszystkie piękności łacińskiéj poezyi wiernie przeniósł w język ojczysty.

Z tego zarysu o teatrze za Zygmunta III. widzieć możemy, że Jezuici, jak we wszystkim, tak i w sztuce dramatycznéj chcieli rej wodzić, i po swojemu obrabiając tę gałęź literatury, pragnęli zagłuszyć wystawnością, świeckie, jak nazywano dramata, co niebiorąc przedmiotu z dziejów świętych — więcéj myślały o rzeczach swojéj ziemi! — Wpływ Jezuitów był silny — bo władali umysłem młodzi, którą uczyli w swoich szkołach, akademiach — bo mieli za sobą wielu pobożnych, co religię od Jezuitów rozróżnić nie umieli — nie chcieli — bo mieli za sobą samego króla i dwór Zygmunta III. Ale opatrznością Bożą, przy całéj przebiegłości i silnym wpływie, nieumieli jakoś trafić do serca narodu, i dramata świeckie i dyalogi świeckie nie zdołali ztłumić, owszem lepiéj odbijały przy nędznych ramotach, na jakie dowcipy Jezuitów pociły czoła. Niebrakło nieprzyjaciół tego zakonu, a było ich niemało — ci nielubiąc figlów Jezuickich — i do ich dyalogów, komedyj i tragedyj nie byli ochotni. Lubiąc co dawne, szanowali pobożne dramata — a szukali śmiechu i wesołéj chwili w żakowskich dyalogach, tragedyach i komedyach dworskich. — Pod ich też ochroną ocalały szczęśliwie, by zabłysnąć najpiękniejszém światłem dla potomności — i zwolna zagasnąć, ledwie że nie bez pamięci nawet.

K. Wł. Woycicki.

*) czemu, dla czego.
**) »Czysty Józef« drama, przełożone z łacińskiego Szymona Szymonowicza w Krakowie, w drukarni Łazarzowéj, in 4to. 1597.
***) Dykc. poetów polskich t. I.

Krytyka.

Mazepa.

Tragedya w 5 aktach Juliusza Słowackiego.

W stósunkach i przygodach życia jest pełno poezyi, poezyi żywotnéj, pojawnéj działaniem, dla tego o wiele wznioślejszéj, niżeli nią być może poezya indiwidualna, uczuciowa. Nad wszystkie też jéj gatunki stanęła u szczytu tragedya, wybierająca za przedmiot dla siebie to z życia ludzkiego, co przez walkę ścierających się z sobą potęg moralnych, staje się poetycznem, wzniosłém, zachwycającém. Onych silni duszy i serca, co jak sprężyny utajone nadają popęd i kierunek sprawom i dziejom ludzkim, co prąc o siebie wywołują na jaw tragiczność i szczytność, jest wiele; a formy ich objawień niezliczenie zróżnione. Więcéj tam naturalnie będzie zachwytu, gdzie do owéj walki stawają olbrzymie siły, gdzie od jéj wypadku zawisł los narodu, los wielkiego człowieka; mniéj zaś jest wielkości, choć może być wiele poezyi, gdzie miłość, honor, interes, obowiązki i namiętności na rodzinne tylko rozciągają się koło, i tylko losy kochanków ważą się w zapasach onych władni z sobą. W pierwszym razie historyczne osoby występują na scenę, i odbywa się przed oczyma widzów wielkie dzieło ducha, dramat z dziejów świata; i dla téj to szczytności interesu właściwa tu sfera tragedyi. W drugim przypadku przesuwa nam autor dramatyczny, obraz życia domowego, któremu tragiczność nadają jedynie gwałtowne onegoż wstrząśnienia. Taka jest różnica między Szyllera tragedyą Don Karlos a tragedyą Kabała i miłość; między Goetego Egmontem a Klawigo. Poeci nasi dramatyczni, gdy biorą przedmiot tragiczny z rzeczy ojczystych, niepowinniby natrafiać na taką różnicę. Familijne życie kmiotków i mieszczan zbyt było przyciśnione, aby mogło być poetyczne, a przeciwnie każdy szlachcic był mężem stanu, wywierającym, a przynajmniéj mogącym wywierać wpływ na losy rzeczypospolitéj. Ile było domów magnatów, tyle kół obradujących w złéj lub dobréj wierze o sprawie publicznéj, tyle miejsc bojowych, na których ważyło się przeznaczenie narodu. Wszędzie więc poeta napotyka interes wzniosły, rozległy, treściwy; podobny do bogatego dla tragedyi plonu, jaki przedstawiał średniowiekowy dumnych i potężnych wazalów do kraju i monarchy stósunek, lub możnéj arystokracyi w niegdyś rzeczypospolitych włoskich machinacye.

Taki miał przedmiot i p. Słowacki do tragedyi swojéj. Ale jakby z umysłu otrząsł się ze szczytności, jaką mu nastręczały olbrzymie w nieszczęścia wypadki za panowania Jana Kazimierza. Zamknął nas w domu wojewody przy miłostkach o piękną Amelią, i tylko się domyślamy, że w okół uganiają się Tyszowieccy konfederaci ze Szwedami i Siedmiogrodzianami, gdy tymczasem król, którego tu w najniedołężniejszym widzimy charakterze, awanturuje się dla pięknych oczu, kpa, durnia pazia swego, i odklepuje *ave Maria*. Autor prócz podania o Mazepie, że się kochał w wojewodzinie, nic nie wziął z historyi, faktów history-

cznych nie zmyślił, ani nie nakręcał, ale z saméj walki uczuć, i z sytuacyi znakomitym ułożonych talentem, tragiczność przedmiotu sobie stworzył.

Wojewoda przyjmuje w dom swój Jana Kazimierza, z jakiéj okoliczności, niewiadomo. Między dworzany króla jest paź Mazepa, o którym powiada kasztelanowa:

Serce jego otwarte, jak przejezdna brama,
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota,
Spojrzenia jego nakształt kowalskiego młota,
Ciągle w biedne serduszko uderzają, tłuką
Na miazgę — — — —

Amelia druga żona wojewody, hoża i młoda, i królowi i paziowi wpadła w oczy, i obydwaj knują nań zamiary; lecz Amelia, która skrycie kocha Zbigniewa pasierba, odpiera odważnie ich zaloty. Zbigniew podsłuchał namiętnych oświadczeń Mazepy,

— — O! niebieska, bądź świętą osobą,
Tylko mi się tu pozwól spowiadać przed sobą;
Ja mam wiele na sercu ciążącéj spowiedzi. —
Pod oknem twojém pewnie jaki ptaszek siedzi,
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną:
Czyliż mi dziś słowika zastąpić niewolno?

i pod oknem Amelii czekać zalotnika postanowił. Tym czasem król sam, udając się na spoczynek, każe paziowi pozostać w pokoju, i przybrany w płaszcz jego i kapelusz, spieszy pod balkon pięknéj wojewodziny. Raniony przez Zbigniewa ucieka, i powróciwszy do siebie, każe wszystko sposobić do rychłego wyjazdu.

Tu byłby koniec sztuki, tak mało cały ten pierwszy akt ma związku z następującemi, tak mało na nim naciągnionych tragicznych nitek, po którychby się później cały tragiczny obraz osnuł. Jestto czysta awantura miłośna, zdatna na wodewil, nie na tragedyą.

Autor poradził sobie zręcznie, aby rzecz do czterech następnych aktów przeciągnąć.

Mazepa. — — Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

Król. No i cóż! jakże Waszeć mój honor obroni.

Mazepa (bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani)
Oto mi królu, patrzaj, krew trysnęła z dłoni.

Król (ściskając go). Dziecko moje kochane!

Nocne zajście pod balkonem staje się naturalnie przedmiotem drugiego aktu. Król żali się, że mu pazia raniono; wojewoda, że mu paź do żony zachodzi. Amelia przychodzi skarżyć się przed królem, że ją paź w ogrodzie napadł, i

»Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy.«

Nierad Jan Kazimierz téj konkurencyi pazia, aby więc i sobie dogodzić, pozbywając się rywala, i zazdrość wojewody ukoić, wysyła Mazepę z listami. — Tu znów urywa się wątek sztuki, i wciąż jesteśmy raczéj na komedyi, niż na tragedyi Dopiero w końcu drugiego aktu zawięzuje się węzeł tragiczny, sztucznie czy niesztucznie, uwiązany następnym autora przypiskiem do roli:

(Bija się, to jest Zbigniew i Mazepa. Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.)

przecięta bowiem została na liście pieczęć królewska, paź zajrzał, i dowiedział się wielkiéj tajemnicy:

Ortodoxus (król) chce porwać żonę wojewodzie!
Daléj — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?
»Pana Mazepę zaraz zasadzić do wieży,
I strzedz aż do dalszego z nim rozporządzenia.«

Mazepa téj nocy jeszcze postanawia ostrzedz Amelią o grożącém jéj niebezpieczeństwie. Zręczności wkradania się oknem dał już w pierwszym akcie dowody, więc i tu oknem włazi do pokoju wojewodziny; uchyla firanek do sypialni; nie było nikogo. Zaledwie zdążył napisać na wachlarzu »Oddal twoje niewiasty, jestem tu« — spłoszony chowa się za firanki. To Zbigniew i Amelia wracają pożegnać się na długie rozstanie. Rola Amelii walczącéj między miłością występną a obowiązkiem małżeńskim, pięknie przeprowadzona.

— — — — — — — Jaka plama
Dla mojéj czystéj duszy tak z waćpanem gadać,
Jak gdybym rozumiała. — Nie chcę o nic badać. —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —
Nie bój się, my niewinni: Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga. —
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. — To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą, obleję cię łzami,
Ty będziesz je pamiętał te łzy. — Proszę, proszę,
Proszę te łzy pamiętać — i o mnie. — Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo co teraz mówię — mówię nieprzytomnie.

Wpada wojewoda z ludźmi, którzy wypatrzyli Mazepę, i to w chwili, gdy syn jego zemdlony u nóg macochy leży. Wyborny jest początek téj sceny:

— — — — Jeszcze honor cały,
Mój syn tu był na straży. — Czyś ty jego struła?

W ogólności, cała ta scena należy do najpiękniejszych miejsc téj tragedyi. Służba na rozkaz pana gotowa odbyć poszukanie w sypialni; Amelia w przekonaniu niewinności swojéj, opiera się takiemu zesromoceniu kobiecéj wstydliwości całą mocą duszy; Zbigniew stawa w jéj obronie, sądząc ją także niewinną, ale gdy słyszy na własne uszy, że istotnie ktoś jest za firankami ukryty, już nie jéj niewinność, ale jéj honor całą rozpaczą serca zasłania.

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona,
Tam nikt nie wejdzie. — Piersio Chrystusa czerwona
Siedmią ranami — tam nikt nie wejdzie . . . o Boże!
Matko! macocho! — Ojcze! ja się tu położę
Jak pies, i nikt nie wejdzie, miéj litość nademną.
Ojcze! oh! ja omdleję — słabo mi i ciemno . . .
Ja mdleję drugi raz — ta scena mnie dręczy.
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam nie ma nikogo. — Czyż nie dość na tém . . .
Ojcze! oh! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący . . .
Patrzaj, ja cały blady — patrzaj, cały drżący —
Ja słabnę — jeszcze chwila, a serce mi pęknie.

Amelia (do wojewody.)

Litości Panie! — niechaj twa zaciętość zmięknie —
Ja bardzo cierpię —

Wojewoda.

Chciałbym uwierzyć w Waćpanią.
(zdejmuje ze ściany krucyfix)
Przysięgniesz na krucyfix?

Zbigniew.

Ja przysięgnę za nią.
Ojcze! co myślisz? — kazać przysięgać kobiecie?
Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam. — Usta kobiet są jak niemowlęce,
Ich straszliwemi słowy nie potrzeba mazać. . .
Mój ojcze, daj krzyż — ludziom już można rozkazać,
Aby odeszli. — (na stronie) Cóż to i ona się zbliża? —

Amelia.

Ja przysięgnę.

Zbigniew.

Ty?

Amelia.

I cóż

Zbigniew (cicho do Amelii)

Matko — precz od krzyża!

Amelia (kładzie rękę na krucyfixie).

Na Chrystusowe rany, i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze,
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona,
Niech wam tak Bóg odpuści!

Zbigniew.

Ojcze! rzecz skończona.

Wojewoda przekonany, że krzywoprzysięgła, zrzeka się rewizyi alkowy, ale przywoluje mularzy, i każe ją zamurować; żonę zaś do więzienia wtrąca. Tu ją odwiedza Zbigniew, zawsze jeszcze kochający ją szalenie, ale już z rozdartém, zgorszoném sercem:

— — — — — — O! tu mi był Eden —
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,
Hymnem anielskim twoje tłumione westchnienia,
Twoja dusza połową méj duszy weselszą;
Nie mówiłem ci tego pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią,
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. — O! matko,
Zdaleka stój. — Przyszedłem się na twoją gładką
Twarz napatrzeć, i ludzkiéj piękności urągać. . .
Nie śmiéj już po mnie żadnéj przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz, żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo.
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę,
Chodź tu — powiem na ucho, — utnij włosy krucze,
I powieś się — lub słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz. . . .

Amelia teraz dopiero dowiaduje się, że Mazepa w alkowie zamurowany; dowodem dla niéj napis na wachlarzu, który wypierającéj się rzucił Zbigniew przed oczy. Błaga, aby ją przed króla wyprowadzono, aby uratować jéj niewinność i życie konającego z głodu człowieka. Król dosłyszał jęków za murami, każe ścianę rozwalać, i wynoszą z alkowy pazia bez zmysłów. Wyjaśnia się teraz rzecz, ale to nie zaspokaja wojewodę, chce sądu bożego, i Zbigniew z Mazepą ma się kulą rozprawić. Słychać strzał. Ojcu donoszą, że syn poległ, tu go najwyższa rozpacz i zemsta ogarnia. Prosi króla, aby został na pogrzeb, a przynajmniéj aby mu pazia zostawił. Ale ta prośba jest jadem nieubłaganéj pomsty. Trupa zabitego syna niesie na barkach, i powala po nad progiem:

Oto próg, Mości Królu, święty trup człowieka —
Terazże Najjaśniejszy Panie, ojciec czeka —
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie —
Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie —
Daj pazia — lub idź Panie! —

Amelia wzięła truciznę, przebacza Mazepie, i kona na trupie Zbigniewa. Król z wojskiem otacza dom wojewody; pazia na męki porwała służba; wojewoda życie sobie odbiera.

Oto osnowa tragedyi p. Słowackiego, pełnéj dramatyczności i tragicznych sytuacyj, brak tylko wykończenia w całości; fugi i wiązania zanadto namacalne; wydaje się jakby zabudowanie z przystawek różnych, a nie jako gmach jednowymianowy; jakby klejonka scen pojedyńczych, a nie jako gładki odlew z jednéj formy. Jak się już wyżéj rzekło, tragedya poczyna się dopiero z końcem drugiego aktu. Nie pojmujemy wcale, po co zaraz na wstępie ów długi raport Chmary o zgiełku szlachty na podworzu, gdy dwaj marszałkowie we drzwiach uwięźli; po co owo błaznowanie Mazepy włażeniem przez okno; po co wprowadzona na scenę pani kasztelanowa, która z końcem dziesiątéj sceny 1go aktu już odjeżdża, i to nie wiedzieć dla czego. — Akt drugi rozpoczyna się żwawą utarczką między królem i wojewodą, i oto przejście do następnéj sceny:

Wojewoda. — — — Miłościwy Panie,
Pozwól mi, pójdę, ranne zastawić śniadanie.

Król. Dajem wam wszelką wolność.

Czy można powiedzieć coś słabszego, aby dać powód oddalenia się wojewody? Luzuje go Amelia, przychodząc skarżyć się przed królem na pazia za ukradziony jéj pocałunek. Czy podobne oskarżenie z ust wstydliwéj małżonki przyzwoite, wątpię; stósowniejsze przynajmniéj byłoby zażalenie przed mężem lub przed Zbigniewem. Ale autorowi było to spotkanie króla z wojewodziną potrzebne, aby tamtemu podał porę wynurzenia sam na sam Amelii miłośnych sentymentów, i owo zaniesienie skargi musiało posłużyć za środek ku temu. W scenie 4téj wraca znowu wojewoda kontynuować zwadę z królem o pazia. — W akcie czwartym siedzi Amelia w więzieniu. Trzeba ją było koniecznie ztamtąd wyprowadzić. Wbiega więc wojewoda i mówi:

Waćpani masz przed królem stanąć Jegomością —
Ze mną! rzecz się odkryła!

Rzecz się atoli całe nie odkryła; król dotąd nie wiedział o niczém, co się stało, i dla tego ani przypuścić można, aby miał żądać stawienia przed się Amelii. A gdyby i tak było, skłoniłbyż się na sąd taki między sobą a żoną, dumny wojewoda, który wyżéj powiedział:

— — — — Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

Amelia stawiona przed króla, nie zwraca ani na jedno słówko jego uwagi, widać że tam przyszła dla następnéj sceny. Potrzeba oraz było i Zbigniewa sprowadzić; tu sobie autor jeszcze nieszykownéj począł. Nagle i bez przyczyny pyta król wojewody: »gdzie jest syn Waszmości?« »Nie wiem,« odpowiada ojciec. Ale wtém i Zbigniew wchodzi, jakby *deus ex machina*. »A ot! i Pan Bóg zesłał mego syna« a król na to zupełnie o czém inném mówić zaczyna. — Tak widoczne klejenie scen w wielu miejscach się pokazuje. Aby zamurowanego Mazepę z owéj nieszczęśliwéj alkowy wydobyć, trzeba było pokój sypialny Amelii na kaplicę dla króla urządzić, iżby wśród nabożeństwa mógł słyszeć jęki zamurowanego; choć nie wiedzieć po co królowi kaplica w ostatnim dniu pobytu w domu wojewody. Aby Zbigniewa mieć przytomnym przy scenie w alkowie, odbywa się pożegnanie między nim a macochą w jéj sypialnym pokoju, choć to na wstydliwą Amelią ani dość przyzwoicie, ani dość podobne do prawdy.

W ogólności atoli nie można odmówić p. Słowackiemu zdatności na pisarza tragedyi. Jest w nim poezya żywa, namiętna; umie w najdelikatniejszych odcieniach uchwycić i oddać charaktery ludzkie; zna się na grze uczuć, włada sercem, i samą poetyczną treścią zachwyca. Bo wiersz jego, jak przytoczone próbki pokazują, jest twardy i trudny. Rzekłbym, że zbywa autorowi raczéj na technicznéj zręczności odlewania dzieł tragicznych, niżeli na zdolnościach.

Libelt.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*